



Wielka regulacja i jej niezamierzone (?) konsekwencje

Na początek historyjka prawdziwa. Odwiedził mnie na dyżurze jeden z moich doktorantów (cudzoziemiec) i podzielił się zaskoczeniem i wątpliwościami, jakie ogarnęły go po obowiązkowym w programie studiów spotkaniu, które było poświęcone technice lokowania artykułów w zagranicznych, wysoko punktowanych na liście Ministerstwa periodykach. Otóż osoba prowadząca powiedziała młodym ludziom, że zanim zaczną pisać swój artykuł, niech starannie przeanalizują skład rady redakcyjnej wybranego periodyku, a następnie wybiorą sobie kilka osób z tej rady, przejrzą ich dorobek i, wreszcie, zacytują w artykule, który zostanie tam posłany. Trochę tym zdeprymowani młodzi ludzie pytali: „no dobrze, a gdzie samodzielność, gdzie oryginalność własnych badań i przemyśleń?”. Wtedy prowadzący spotkanie instruktor poważnie odpowiedział: „to chcecie tam publikować, czy nie?”. Mój doktorant zapytał mnie, co ma robić. I prawdę powiedziawszy, choć wyraziłem jednoznaczny krytycyzm wobec takiej procedury, nie miałem dla niego żadnej pozytywnej rady.

Gdy wyszedł, nasunęło mi się skojarzenie z sytuacją, z jaką zetknąłem się przed laty, kiedy to właśnie ja byłem doktorantem. Otóż raz powierzono mi opiekę nad pewnym profesorem z Rumunii. Zaprosiłem go do siebie do domu, pytał, czym się zajmuję, odpowiadając, pokazałem mu jakiś swój tekst, który właśnie wyszedł w jednym z specjalistycznych periodyków. Wprawdzie nie znał polskiego, ale przyglądał się z zainteresowaniem, głównie przypisom. Po chwili zapytał: „to u was nie ma obowiązku cytowania na początku klasyków marksizmu-leninizmu i wystąpień przywódców partii”? Kiedy się zdziwiłem, powiedział: „u nas pierwszych sześć przypisów w artykule jest zastrzeżonych dla klasyków (przynajmniej trzy) i Ceaușescu lub kogoś z Politbiura”. Ktoś może odpowiedzieć, że to zupełnie inne czasy, złe porównanie.

Niezupełnie. W obu przypadkach to niemoralne, to ociera się o intelektualną korupcję. Zacytujesz naszych, zastaniesz opublikowany. Naszym rośnie wskaźnik cytowań, a ty masz publikację, dzięki której dostaniesz sporo punktów, które ci są potrzebne przy ocenie twojego dorobku i pozycji na twoim uniwersytecie czy w twoim kraju, zaś twojemu wydziałowi w procesie parametryzacji. Ktoś mógłby powiedzieć, to margines. Niezupełnie. Znane są, już po wprowadzeniu podobnego systemu w innych krajach, np. w Wielkiej Brytanii, całe „spółdzielnie” badaczy

obsługujących się wzajemnie przy wysoko punktowanych pismach i wciągających w ten proceder, tak, inaczej nie można tego nazwać, młodych badaczy. Ale nie tylko, bo także odrzucających teksty tych, którzy nie cytują lub nie piszą w konwencji właściwego dla danego miejsca mainstreamu. Badacze z krajów, w których w danej dziedzinie nie ma, czy prędko nie będzie, wysoko punktowanych periodyków czy wydawnictw, są silnie narażeni na to ryzyko.

Są jeszcze inne niezamierzone (czy aby?) konsekwencje tej procedury. To jest sprawa wykształcania cechy tak podstawowej, jak ta, dla której drogowskazem w naukach społecznych i humanistycznych jest myśl Stanisława Ossowskiego: „nie być w myśleniu posłusznym”. Kolejna wiąże się z furtką, otwieraną przez tę samą ustawę 2.0, której efektem jest wyżej wskazany problem. Chodzi mianowicie o możliwość uzyskania doktoratu nie na podstawie dysertacji – monografii, lecz kilku dobrze punktowanych artykułów. Wyrządza się w ten sposób młodym badaczom wielką krzywdę. Jednak monografia to przeskok na inne piętro myślenia, myślenia strukturalnego, które jak wskazują na to badania, nie jest mocną stroną Polaków. Jeśli ktoś jest tak zdolny, że bez problemu lokuje swoje teksty w wysoko punktowanych pismach, tym bardziej nie powinno być dla niego problemem napisanie monografii dysertacyjnej. „Przy okazji” czegoś się nauczy. Niektórzy wskazują, że ukrytym celem tej „procedury warunkowania” (na podobieństwo procesu Bokanowskiego w *Nowym wspaniałym świecie* Huxleya) jest koncentrowanie wysiłku badaczy na pisaniu przyczynków do zagranicznych wydawnictw, a tym samym odwracaniu ich od podejmowania „jałowej”, bo niedającej punktów szerszej refleksji humanistycznej, która mogłaby dotyczyć najważniejszych polskich spraw. Czy właśnie to nie grozi peryferyzacją naszych nauk społecznych i humanistycznych?

Do tej pory mieliśmy w kraju Urząd Regulacji Energetyki. Od pewnego czasu objawił się nam urząd regulacji nauki. Paradoksem jest, że na jego czele staną polityk, który w przeszłości dał się poznać jako zwolennik deregulacji... Należy mieć nadzieję, choć ja nie mam jej wcale, że urząd regulacji nauki zdoła się po jakimś czasie na odwagę, by zrobić uczciwy przegląd konsekwencji wielkiej regulacji, która niczym wielkie imadło zaczyna szczerze warunkować polską naukę i polskich badaczy.

ROMAN KUŹNIAR

Uniwersytet Warszawski



Kraków

Partnerem czasopisma jest Miasto Kraków